

# Podlasiak



BOLESŁAW LEŚMIAN

KLECHDY POLSKIE

## Podlasiak

Spotkały się dwa zuchy,  
Ten ci ślepy, ów — głuchy.

*Przygadywka ludowa*

Było ich dwóch: prawy — kulawiec, a lewy — jednoręki.

Ten ostatni posiadał jeno<sup>1</sup> lewicę, więc mu było dogodniej i ściślej podczas wędrówek nieustannych prawym, przegrody wszelakiej wyzbytym ramieniem z przyjacielem się stykać, a lewicy, którą wielce sobie ważył, swobodę i przestronność pozostawiać.

Obydwa nawykli do tych niezmiennych a współzależnych względem siebie stanowisk, jak para dobranych szkap, w jednym chodzących zaprzęgu, z tą jeno z dala już postrzeganą różnicą, że kulawiec pod wpływem zawyłych wymogów mitrężnego kalectwa potykał się i poskakiwał, jakby co chwila pracowitym ułamkiem niedokończonej prawej nogi na świat cały wierzgał opryskliwie, a jednoręki maszerował żwawo, jeden krok dając na kilka przenośnych podrygów dygotliwego przyjaciela.

Toteż jednoręki dzierzył głowę na karku statecznie i ze świadomie pionową przewagą nad kulawcem, który co krok tykwiastą półkołą połyskliwej łysiny wstrząsał luźnie i przymuszenie, niby podrzucany pełną pośpiechu bryką o zatwardziały resorach, o ile wolno tak zamożnym porównaniem obarczać biedaka, wiedząc z góry, iż wolałby podrzuty wzmiankowanego inwentarza<sup>2</sup> niżli własnego kadłuba.

Zdawało się, iż głowę swoją, niby stroskaną i boleściwą grzechotką, przyjaciela kosztował własnej niedogody zabawia nieustannie, aby mu wynagrodzić trud współwędrowania.

Idąc, czapę w rękę na odmachu trzymał i okrywał nią niespokojną głowę jeno w chwili postojów, w przeciwieństwie zresztą do druha, który ze swej czapy wprost odwrotny czynił użytek.

Tak czy owak, każdy swej strony trzymał się starannie, gdyż w razie nieogłędnego miejsc pogmatwania wikłali się w zgubionym karygodnie kroku i jeden drugiemu stawał się nagle ciężarem nie do zniesienia i przeszkodą nie do usunięcia.

Zgryźliwy i nieustępliwy kulawiec narzekał wówczas na wściubską<sup>3</sup> lewicę przyjaciela i bezprawną obecność jej u boku wyczuwał, niby natłok zbyteczny i ciasnotę dokuczliwą.

Jednoręki zaś, łagodniejszego będąc przyrodzenia<sup>4</sup>, kolanem jeno z lekka napominał i odstraszał szturchającą go na kształt ślepego wahadła nogę kulawca, której z kolei przypisywał namolną zbędność piątego koła u wozu. Przy czym ów wóz mimo woli za swoją i nietykalną własność uważał, a piąte koło za niedorzeczny i złośliwy pomysł zuchwałego przyjaciela.

Rzadko wszakże zamieszka taka się zdarzała.

W ostatnich szczególnież czasach przyjaciele wzajem na siebie uskarżać się nie mogli.

Wyruszając w drogę, obrzędowo niemal zajmowali swe lewe i prawe stanowisko, z tym jednak pomniejszym zastrzeżeniem, że jednoręki, mając na usługi dwie całkowite nogi, zajmował je pierwszy i od razu, kulawiec zaś czynił to z niepoprawnym, aczkolwiek

Kaleka

Bieda

<sup>1</sup>jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>inwentarz — tu: pojazd, sprzęt. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>wściubski — wścibski; taki, który się wściubia, tj. pcha się wszędzie nieproszony. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>przyrodzenie — natura; tu: charakter, usposobienie. [przypis edytorski]

nieznacznym opóźnieniem, zrywając się z miejsca jak do łamanego lotu i z podejrzliwą bacznością obskakując wyczekującego cierpliwie towarzysza.

Po czym szli zgodnie i umownie.

Jednoręki swe kroki powolne do szybkich podrygów kulawca dostosowywał tak umiejętnie, jak gdyby z uroczystymi przestankami<sup>5</sup> wtórzył na basetli<sup>6</sup> piskliwej krzątaniu smyka na strunach w nic, prócz własnego pisku, nie zasłuchanej skrzypki.

Jeśli jednoręki trafem kulawca z oczu stracił, szukał go zawsze na prawo.

Kulawiec w tym samym wypadku na lewo zerkał nieomylnie.

Dzięki obopólnej bezdomności, zawsze im bywało po drodze i myśl o rozłące, jako nierzeczywista i niewykonalna, nie miały dla nich ani znaczenia, ani zastosowania.

Obojętny był im kierunek zdybanej<sup>7</sup> drogi i obojętny podział świata na cztery dokładnie oznaczone strony.

Na dwie go zazwyczaj dzielili: lewą i prawą, a i ten podział zbyt był osobisty i miał na celu nie ujęcie w ład przestrzeni, jeno uporządkowanie ich wędrownego współstosunku i współkroczenia po powierzchni ziemnej.

Szli skądkolwiek — dokądkolwiek, a raczej — znikąd — donikąd, co, mimo jednakiej treści, dzięki rozłożystym w swym nieokreśleniu wyrazom sporszy<sup>8</sup> na pozór kęs świata zagarnia i uprzytamnia.

Świat, w ten sposób zagarniony i uprzytomniony, udzielał im wszystkich dróg na raz, a żadnej z osobna.

Szli po chlebie próśbowanym, nie pragnąc innego.

Przyszli na świat po to, aby co chwila, nieustannie i raz jeszcze znikąd donikąd przychodzić, jakby przyjscie na świat prócz przyjscia żadnych innych skutków samo przez się za sobą nie pociągało.

Kulawcowi ten świat zdawał się — stromy i niedoskoczony, a jednorękiemu — niepochwytny i uboczny.

Jeden na tym stromym, a drugi na owym ubocznym świecie znajdowali czasami już to but, spłaszczoną przyszwą<sup>9</sup> w piach wbity, a dziurawą podeszwą ku niebu tak zwrócony, jakby właściciel, pod ziemię ze wstydu uciekając, na powierzchni w pośpiechu go zostawił, już to pergaminowo zeszytniałą na wietrze i rdzawymi zajadami popiętnowaną szmatę, która na próbne uderzenia kija odzywała się pohukiem drzwi, gwałtownie zatrzaśniętych, już to połowiczny rzemyk od niewiadomych raz na zawsze portek, nie tyle widać zgubiony, ile odrzucony jako zgoła bezużyteczny, a który mimo to, zaszyty w przeguby stężałego i kołami wytłoczonego błota, zdawał się napraszać na jakikolwiek postronny nawet i niewłaściwy mu użytek.

Pomiędzy obojgiem przyjaciół ustalili się zwyczaj milczący i surowy, że przedmiot na drodze znaleziony należał do tego, który go pierwszy zaoczył<sup>10</sup>, nie zaś ręką dosięgnął lub nogą dla przyswojenia nadepnął.

Pierwszy bowiem warunek jednorękiemu, a drugi kulawcowi by nie odpowiadał.

Chociaż trudno było sprawdzić pierwotność zaoczenia, wszakże towarzysze oszczędzali sobie pod tym względem zawodów i nieporozumień.

Obydwaj tak rzetelnie i święcie dbali o nienaruszalność wspólnego obyczaju, że każdy ze czcią bogobojną usuwał się od prześlepionego przez siebie znalazzku i nie rościł żadnych praw ani żalów do nabytej przez drugiego własności.

Piechtami<sup>11</sup> kawał świata zdreptawszy<sup>12</sup>, poznali skąpy nadmiar zabrakowanych i niczych przedmiotów. Rozumieli przeto zbrodniczość i okrucieństwo grabieży, popełnionej na tak rzadkich, a zawczasu we wzrokowe posiadanie ujętych relikwiach. Te ostatnie

Przeźrenie

Życie jako wędrówka,  
Bezdomność

Żebrak

Własność, Obyczaje

Bezdomność

<sup>5</sup>przestanek (daw.) — przystanek, przerwa. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>basetla — polski ludowy instrument smyczkowy o niskiej skali, kształtem przypominający wiolonczelę. [przypis edytorski]

<sup>7</sup>zdybany — tu: znaleziony, przypadkowo przyjęty. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>sporszy — większy. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>przyszwa — górna część buta, przszyta do podeszwy. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>zaoczyć — zobaczyć. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>piechtami (gw.) — pieszo, na piechotę. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>zdreptać — przejść, przemierzyć pieszo. [przypis edytorski]

miały dla nich szczątkowy urok sprzętów domowych i poufny czar osiadłego kędys<sup>13</sup> na stałe zapiecka<sup>14</sup>.

Koczując z miejsca na miejsce i wiedząc z góry, że nikt ich nigdzie nie czeka, dochrapali się wreszcie takiego samopoczucia, jakby nigdy i nigdzie ich nie było...

Rzec można, iż zanieistnieli w sobie.

Jednakim bez różnicy wzrokiem patrzyli na przedmioty martwe, na zwierzęta, na rośliny i na ludzi, bezwiednie równając wszystko do jednego kędys prapoziomu...

Raz nawet ktoś wrażliwszy, gdy im jałmużnę podawał, stwierdził mimo woli, iż patrzą nań jak na pień lub na trupa, i uważając to za złą wróżbę, zaklął, splunął i odwrócił się od nich z niemilym, aczkolwiek nieuzasadnionym uczuciem, że jest albo będzie wkrótce takim samym właśnie, zawczasu przez nich upatrzonym pniem albo trupem.

Nie mogli sobie widać pozwolić na zbytek oglądania świata pod rozmaitym kątem i z rozmaitego stanowiska.

Nie mieli zresztą ani kąta, ani stanowiska.

Świat ich żywcem roztrwonił w swych obszarach, jak dwa złamane i do obiegu niezdatne szelągi<sup>15</sup>.

I teraz oto szli znikąd — donikąd.

Zbliżyli się trafem do lasu i, od dawna zdrożeni, zgodnie, choć milcząco postanowili na jego widok wypocząć.

Najczęściej w lasach przygodnej szukali przystani.

Była to zresztą przystań na drwiny i wypoczynek na opak. Po prawdzie bowiem mówiąc i zapatrując się na istotę rzeczy ze stanowiska bezwzględnie trzeciej osoby, należałoby raczej przypuszczać, iż wypoczywali nie w samym lesie, jeno w tym, co inni ludzie „widokiem lasu” przeżywają, mając przy tym na myśli nie tyle las, ile własne oczy.

Zatrzymali się na samym przylesiu, nie śmiejąc wnikać głębiej — w szum i w cieniistość, gdyż takie wniknięcie mogłoby przydać im podejrzany wygląd ludzi poszukujących kryjówek, a zbytne zboczenie z drogi mogłoby narzucić im pozór zbiegów.

Zaludnili więc sam widok lasu, jakby w celu uzupełnienia i ożywienia nieprzynależnego nikomu obrazu.

Zdawałoby się, że nawet las, w ścisłym tego słowa znaczeniu, był niedostępny dla tak rdzennie bezdomnych dziwadł i wzbraniając im swej treści istotnej, udzielał jeno swych zielonych pozorów, które na swój sposób i na swoją potrzebę użytkowali wedle możliwości.

Las, do którego się dowlekli, niczym się dla nich nie różnił od tysiąca innych, po drodze spotkanych lasów.

Na świecie trwało jeszcze ciemne rano.

W powietrzu wszczął się pierwszy zamęt i popłoch myszaty<sup>16</sup> a ponikających w bławym<sup>17</sup> rozcieńczeniu zmierzchów.

Niektóre z nich, pierchając<sup>18</sup> w rozsypkę, szukały piwnicznego schronu po jarach i krzewach. Inne, rozpraszając się stopniowo, jak koła na wodzie, ustępowały nieokreślonego w przestworach miejsca nowo przybyłym świtom.

Na niewidziane dawał się odczuwać kulisty i odległy pośpiech nadchodzącego spoza ziemi słońca.

Światło jego, dymne jeszcze i deszczowo mętne, nie rozwidniało przedmiotów, jeno odgraniczało je wzajem od siebie, złotawym kopciem<sup>19</sup> osiadając na zaoranym polu, które jeżyło i rozluźniało oku swe grzbieciste zagony, połyskujące na załomach ziemistym i pochmurnym fioletem, niby kruszce wilgotne, tu i ówdzie siekierą zadrąśnięte i podważone.

Od pola światło szło do lasu, lecz nie docierając szczerlnie do drzew, pozostawiało pomiędzy nimi a sobą próżnię, mającącą nikłymi przypomnieniami ubiegłej nocy.

Łupliwa i krucha kora sosen, odstając na sękach, jedwabiście rdzawiła się w tym

Zabobony

Zmęczenie

Las, Przestrzeń

Bezdomność

Świt

Cień

Światło

Drzewo

<sup>13</sup>kędys (daw.) — gdzieś. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>zapiecek — posłanie na piecu, najcieplejsze miejsce w chałupie. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>szeląg (daw.) — drobna moneta; miedziak (por. powiedzenie *Znac kogo jak zły szeląg*). [przypis edytorski]

<sup>16</sup>myszaty — tu: koloru myszy, szarawy. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>bławy — bładoniebieski, modrawy (por. bławatek). [przypis edytorski]

<sup>18</sup>pierchać — uciekać, rozbiegać się. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>kopec — gęsty, ciemny dym; sadza. [przypis edytorski]

przycmieniu przedporankowym, a różowomleczne pnie wilgotnych i zawsze chłodnawych brzoź, kędzierzawiąc się na zadrach zwitkami kredowego naskórka, to białe, jak smukłe śnieżki, to różowiwały przelotnie na kształt nóg bocianich, to znów plamiście migotały swym srokatym przegowaniem.

Jedna tylko ponad rowem strzępiasta i ospowata od rosy pokrzywa blask przedwczesny złowiła swym najwyższym wystrzelonym liściem, który nad ciemniejszą odeń ziemią płonął jak samotny kaganek i wyprzedzając słońce, skupiał na włochatej powierzchni ukosem podaną złocistość niedostępnego jeszcze dla reszty świata poranku.

Pierwsze wróble, otrzepując na gałęziach pióra i dzioby, ćwierkały po jednemu i nie do końca...

Słychać było od czasu do czasu ich nagły trzepot i dreszcz wśród liści, ociekających kroplami rosy, przemieszanej z otrząśniętym po trosze pierzem.

Na niskiej i niby na jeża ostrzyżonej murawie przylesnej stał dąb ustronny i rozłożysty. Stał dosłownie, gdyż zdawało się, że w miejscu zetknięcia z murawą kończy się i nie zapuszczając w ziemię żadnych korzeni, samą podstawą rozszerzonego u dołu pnia gruntuje się i równoważy na jej powierzchni.

Obydwaj przyjaciele, przynagliwszy<sup>20</sup> ostatnich kroków, zbliżyli się jednomyślnie do tego dębu i usiedli pod nim, plecyma<sup>21</sup> wsparci o pień zawile pobrużdżony i mszysty.

Jednoręki zdjawszy czapkę, plackiem położył ją obok na trawie i nogi przed się wyciągnął, jak chwilowo postronione<sup>22</sup> wiosła.

Kulawiec zaś, czapką łysy czerep<sup>23</sup> dla sposobności osłoniwszy, niecałą nogę skrzętnie podwinął pod siebie, a całą ostrożnie i niby do snu ułożył w kabląk<sup>24</sup> na ziemi. Korzystając z jej pobliskości, ciemnym jak szylkret<sup>25</sup> paznokciem usunął z przegięciny<sup>26</sup> schodzonej pięty zbyteczny przytwierdek<sup>27</sup> nabytego po drodze błota.

Siedzieli niemal tyłem do siebie i poglądali na własne utrudzone i przebolące nogi, jakby na tych nogach świat się dla nich w tej chwili kończył.

Jednoręki miał torbę niezmiernie długą i pakowną, choć pustą i zaledwo u dołu z lekka wypaczoną rogatym bezładem szczupłego a rozmaitego brzemienia.

Znać było, iż utrzymuje ją schludnie.

Lśniła się od zgrzebnej, zrudziałej na słońcu czystości.

Od czasu do czasu gładził ją dłonią, jak heblem, strącając z jej kosmatej powierzchni coś w rodzaju zawsze obecnych otrębów.

Przed każdym posiłkiem wyjmował z jej wnętrza znaleziony niegdyś w kałuży przy studni kubek blaszany i oglądał go z jednaką zawsze zadumą i skupieniem.

I tym razem wyjął ów kubek, obejrzał go troskliwie i wszechstronnie i z powrotem ułożywszy na dnie torby, wyciągnął w zamian suchar płaski i dowolnie pogięty. Położył go na czapce, jak na pokaz i przyglądał mu się przez chwilę, rozważając zapewne trafność jego kształtu i stopień pożywności.

Kulawiec był posiadaczem torby kusej i płytkiej, ale upchanej dostatnio i pękatej jak kobza<sup>28</sup>.

Na oślepie i krzątliwie wynurzył z niej spory gień<sup>29</sup> chleba i przyłapanym palcami rękawem potarł go po wierzchu, jakby dla nadania niezbędnego przed spożyciem połysku. Po czym oburącz rozłupał go na dwoje i na czworo, i smakowitym pochrzęstem ruchliwych szczęk uprzedzając wprowadzenie odpowiedniego do jamy ustnej kęsa, nastawił mu gościnnie dolnej wargi, jak dla przyjęcia komunii.

Chciał widocznie tą wargą przytrzymać w czas sypkie i rozrzutne okruszyny.

Drzewo

Jedzenie, Chleb

<sup>20</sup>przynaglić — popędzić, przyspieszyć. [przypis edytorski]

<sup>21</sup>plecyma (gw.) — plecami (dawna forma liczby podwójnej). [przypis edytorski]

<sup>22</sup>postroniony — odłożony na bok, odsunięty. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>czerep — czaszka, głowa. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>kabląk — przedmiot zakrzywiony, wygięty w łuk. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>szylkret — rogowa warstwa na pancerzu morskich żółwi, używana daw. do wyrobu grzebieni i figurek. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>przegięcina — łuk, zagięcie. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>przytwierdek (neol.) — rzecz. utworzony od czas. przytwierdzić. [przypis edytorski]

<sup>28</sup>kobza — tu: dudy, instrument muzyczny złożony z miecha skórzanego i przytwierdzonych do niego piszczałek. [przypis edytorski]

<sup>29</sup>gien, zdr. glonek (daw.) — duża kromka, kawałek chleba. [przypis edytorski]

Tymczasem już jedna gałąź ciemnego jeszcze dębu rozwidniła się pokątnie<sup>30</sup> — soczysta od rosy i bursztynowa od wsiąkliwego blasku, a jednocześnie drobiazgowo rzezany<sup>31</sup> liść przeciwległej paproci wyprzejrzyściał i zielonkawym zmierzchem pobarwił szarą pod swym nakryciem ziemię, nadając jej pyłnej powierzchni wklęsły pozór zagadkowo oświetlonego wnętrza.

Kukulka przez sen kukała w głębinie leśnej.

Jej piersiowe i parzyste okrzyki dolatywały z dala, od strony niewiadomej — i czasem tylko zdawały się pobrzmiwać tuż — w samej muszli zasłuchanego na chybił-trafił ucha, napęlniając je po brzegi śpiewnym i rachubie dostępnym zgiełkiem.

Przyjaciele nie słuchali na pozór jej nawoływań, a mimo to, ilekroć zakowała<sup>32</sup>, tylekroć w takt jej kowania poruszali bezwiednie żuchwami, w których chrupiał chleb, mięsożernie i pieczołowicie miażdżony.

Chleb ten, powietrzem przetknięty i świeżością poranku nasiąkły, upajał ich i przyprowadził o swoisty zawrót głowy, niby trunek mozolny i cierpliwy.

Zdawało im się, że jednocześnie z tym chlebem pożywają do wtóru i na odległość wonne powietrze porankowe, i parującą w pobliżu macierzanekę, i dalszy od niej krzew smolistego jałowca, i skapujące z gałęzi wraz z rosą błyski słońca, które pośpiesznie dojrzewało.

Pożywali cały świat, który obecnie dla ich zgłodniałych oczu stał się nieograniczenie jadalny i dostępny wargom, jak pacierz.

Nie spodziewali się, że za chwilę zdarzy się wypadek, który im przerwie obrzęd tajemnego i zbyt osobistego użytkowania świata.

Stało się to, co się nie zawsze i nie każdemu przytrafia.

Stał się mniej więcej — cud.

Kruk, przelatujący nad lasem, zakrakał nagle na śmierć temu właśnie dębowi, pod którym siedzieli.

Dąb zrozumiał, że godzina niezwyklej śmierci nastąpiła i że mu dano niemal umrzeć po ludzku, a nie po roślinnemu. Toteż zachwiał się dumnie w swych posadach, wykorzenił się z murawy i zanim kulawiec jednorękiemu, a jednoręki kulawcowi zdążył cokolwiek powiedzieć, przedzierzgnął się<sup>33</sup> w upiora i stanął pomiędzy nimi w miejscu, gdzie sam przed chwilą był jeno bezrozumnym oparciem ich pleców.

Upiór dębowy połapał się od razu w swym nowym na ziemi stanowisku. Nie znał wprawdzie ludzkiego życia, ale zginął śmiercią ludzką, więc ukształtował się na wzór upiorów ludzkich, zachowując jeno w postaci niepochwytnej niemal szczegół, zdradzający dawne pochodzenie, a mianowicie jeden szczątkowy sęk nad prawym okiem, który sterczał ukradkiem jak dość wydatny przeżytek lub zbyt wygórowana rodzimka.

Zaledwo się zjawił, a już kilkakrotnie zdążył zmacać ów sęk palcami i za każdym razem machał dłonią, jakby chciał powiedzieć: „Wiedziałem, że tak będzie!”

Tkwilo poza tym coś dąbczastego w jego potężnych barach, w pogmatwanych kędziarach bujnej czupryny i w dobrodusznym wyrazie szerokiej, i bezładnie brodatej twarzy. Ponieważ tylko człowiek przychodzi na świat lekkomyślnie nago, zaś upiory w dniu narodzin zapobiegliwie przynoszą ze sobą wszelką niezbędność, to znaczy jedyną na całą wieczność przyodziewek, tedy i upiór dębowy nie uchybił tym zwyczajom zagrobnym.

Miał, co miał, aleć nie można było orzec, iż nie miał albo — iż musiał dopiero krwawicą własną zdobywać sobie prawo do stroju i środki do istnienia.

Brakło mu bowiem wszelkich środków, a może nawet i wspomnianego prawa, ale nie brakło stroju i jakiego takiego istnienia.

Miał kapelusz ze słomy w kształcie na bakier przywdzianej strzechy, kubrak z niewiadomego w żółdne wzory samodziału<sup>34</sup>, kamizelkę z mchów, naśladowujących od niechcenia splewiały aksamit, a rajtuzy z lyka, o nogawkach sztywnych i niewiarogodnie luźnych. Spod rajtuzów wyzierały długie i podstawowo szerokie nożyska, zgoła bose, jakby w celu

Światło, Rośliny

Ptak

Przemiana, Upiór

Śmierć

Strój

Natura, Rośliny

<sup>30</sup>*pokątnie* — po cichu, sekretnie, tajemnie. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>*rzezany* (daw.) — szlifowany, rzeźbiony. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*zakować* (reg.) — zakukać. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>*przedzierzgnąć się* — przemienić się. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*samodział* — grube płótno tkane ręcznie. [przypis edytorski]

bezpośredniego stykania się z ziemią, która tylko w ten sposób dostępna bywa głębszemu wyczuciu i doznaniu.

Z punktu widzenia nawyków codziennych wyglądał niedorzecznie, jak przesadnie wielki zbieg okoliczności.

Dla dwojga przyjaciół wyglądał z bohatera po zbójceku.

Nagle jego przyjście na świat nie wywarło na nich głębszego wrażenia. Pozbawieni oparcia, nie opuścili nawet swych miejsc dotychczasowych. Spojrzeli na zjawionego upiora tak, jakby na wszelkie inne naokół przedmioty, równając go z owym prapoziomem, który bratał czy też niweczył wszelką różnicę i odrębność.

Dla tych znużonych oczu wszystko było zarówno obojętne, a obojętność owa usuwała zbyt uciążliwy i zapewne bolesny wysiłek zdziwienia.

Oczy te bezwiednie stroniły od przepychu zdziwienia, jak od niedostępnych bram zamkniętego pałacu.

Upiór z wolna prostował swe drgające jeszcze rozpędnym pośpiechem przeobrażeń członki.

Kulawiec na jego widok resztę niedojedzonego chleba i uciulanych<sup>35</sup> w rękę okrucichówsypał z powrotem do swej płytkiej torby.

— Dębowy... — szepnął porozumiewawczo do jednorękiego.

— Dębowy — potwierdził jednoręki i przez oka mgnienie przyglądał się milczącemu dotąd upiorowi, jakby szperał we własnych a stosownych do chwili wspomnieniach.

— Podlasiak? — zapytał wreszcie, zgadując zapewne nazwisko i kiwnięciem głowy nie tyle upiora, ile własny domysł witając.

— Podlasiak — potwierdził basem upiór, z rozkoszą i ciekawością przysłuchując się pierwszemu, który wymówił na ziemi, słowu. Widać podobało mu się, i samo słowo, i dźwięk własnego a nie znanego dotąd jeszcze głosu.

— Zgadłem, że Podlasiak! — pochełpił się jednoręki, zwracając się do kulawca. — Wszystkie Podlasiaki tak wyglądają, jakby zbyt ciężkiej na karku gęby co prędzej pozbyć się chcieli. Po tej chęci poznałem od razu, że Podlasiak!

— Nie miałem dotąd żadnego nazwiska, więc jakiegokolwiek mi dasz, przyjmę z wdzięcznością — zauważył upiór niesłusznie posądzony o chęć pozbycia się nowo ukształtowanej gęby.

— Podlasiaków dwóch znałem: niemowę i ślepca — przypomniał sobie nagle jednoręki. — Niemowa jeno w kucki pochlebco siadywał i pojękując czekał cierpliwie, aż mu jałmużnę z łaski na wystawionych rzędem kolanach, niby na przyzbie, położy. A ślepiec — ten, psiawiara, jurny<sup>36</sup> był i nie w ciemię bity<sup>37</sup>. Po omacku tuż, za odgłosem najcichszych nawet kroków dybał<sup>38</sup>, a tak trafnie pyskować umiał, że mu się żaden najzuchwalszy przechodzień nie oparł i nie sprzeniewierzył!

I jednoręki zapewne w imieniu ślepca pięścią pogroził wszystkim rzeczonym przechodniom.

— Żartować nie lubi! — dodał kulawiec, z uznaniem pokręcając głową.

— Znałeś go? — spytał jednoręki upiora.

— Po co mi te znajomości, kiedy i sam się czuję nie gorszym od tamtych Podlasiakiem? — odrzekł z dumą świeżo mianowany Podlasiak.

Kulawiec w twarz mu wprawnie, jak koniowi w zęby, zajrzał.

— W kogoś ty się udał? — rzekł z niesmakiem po dość mitrężnym namyśle. — Na człeka tak ledwo ledwo zakrawasz, jakbyś go naprędce i od biedy jeno zmałpował.

— Trudno! — odparł z westchnieniem Podlasiak. — Dość się na ten świat już to bokiem, już to łokciami precyzyjnie, aby się mimo woli tym lub owym kształtem z gotowego inwentarza zarazić.

I Podlasiak rozwiódł dłonie na znak swej nieodpowiedzialności za własną urodę.

— A co ci tam nad prawym okiem sterczy we łbie, jak ten czop w baryle? — spytał znowu kulawiec i z nieproszoną dokładnością wskazał palcem sęk wiadomy.

Nuda

Imię

Kaleka

Uroda, Forma

<sup>35</sup>uciulany — uzbierany. [przypis edytorski]

<sup>36</sup>jurny — pelen temperamentu, żywotności. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>nie w ciemię bity (fraz.) — niegłupi, sprytny, zaradny. [przypis edytorski]

<sup>38</sup>dybać — czyhać na kogoś a. na coś; znajdować kogoś a. coś. [przypis edytorski]

— W tym właśnie sęk! — zawołał Podlasiak, wstydliwie obmacując wybitną pozostałość. — Los mnie obdarzył poznałą dziedziną, która, właściwie mówiąc, bez żadnego uszczerbku mogłaby tkwić w miejscu daleko mniej widocznym.

— Nachyl się jeno, a wykruszę ci tę poznałą bez śladu — rzekł usłużnie jednoręki i wyciągnął chwytną lewicę.

— Unikam wszelkich poprawek i przeróbek! — odpowiedział pośpiesznie i niespokojnie Podlasiak. — Nigdy nie wiadomo, co jest potrzebne, a co zbyteczne. Sam Bóg może w ten doskwierny sposób duszę moją nad prawym okiem zakorkował, aby nie wywietrzała.

— Prawdę mówi — zauważył jednoręki z nagłą czcią dla wszelkiej w ogóle prawdy na tym świecie.

Słońce już wyjrzało od dawna i płonęło w rozmaitych skrytkach lasu, jak w tysiącu bezładnie rozproszonych alkierzach. Niektóre pnie złościły się wypukłe, niby oszklone. Na poszyciu leśnym myszkowały tu i ówdzie samotne, w ciemności suto oprawne błyski i migoty, które zdawały się posiadać wagę i własnowolność odruchów.

Na powierzchni murawy rozpostarła się wyplatanka z cieni, powikłanych w krzyż i na ukos, jak powiewne sznurowania.

Niż pajęczka, łącząca pobliską sosnę z dalekim krzewem metalicznie zieleniejącego jałowca, barwiła się znikliwie, niby tęczo nieobecna...

Oko widziało zawsze jej ciąg dalszy, zatracając w próżni niepochwytą resztę.

Podlasiak, ciepłotą poranka zagrany, przeciągnął się i ziewnął w samo słońce.

Kulawiec, zachęcany jego przykładem, wydobyl ze splecionych palców pochrzęst kolejny i usta do zamierzonego ziewnięcia rozwarł łakomie, lecz zamiast ziewnąć, zmarszczył się jak do zacieklego śmiechu i łzawiąc ślepie, zaskomlał tak, jakby mu w szczękach zawiasa rdzawa rozluźniła się ku własnemu zadowoleniu.

— Bracia! — zawołał nagle Podlasiak, tkliwym spojrzeniem obdarzając obydwu przyjaciół. — Ludzie dobrzy! Wędrownicy wytrwali! Bogu dziękuję za to, że was na samym wstępie do swego istnienia spotkał! Raźniej mi z wami w świat iść po szczęście, jako z dwójgim wiader po wodę!

— Chce mu się tę duszę, ponad okiem zakorkowaną, do cna wygadać — zmiarkował w głos jednoręki.

— Zbyt długo milczałem, korzeniać się w ziemi i szumiąc ponad nią! — ciągnął dalej Podlasiak. — Dotąd jeszcze zachowałem tę wstydliwą roślinną, która dopiero po śmierci pozwala liściom stroić się i zdobić w przepychu tęczy, i zdradzać obecność barw tajonych za życia i wzbronnych sobie samym. O, przez długie lata byłem nieobliczalnie smutną ofiarą nieustannej i niestrudzonej wstydlivosti!

— Gadaj bez wstydu, bo nie słucham — ośmielił go kulawiec i twarz odwróconą nastawił pilnie słońcu.

Podlasiak skrzyżował dłonie na żółtych wzorach zbryzganej słońcem kamizeli.

— Stoję przed wami jako bywalec leśny i z tamtego świata wychodźca, bosymi stopami na ziemi rozkosznie utwierdzony! — zawołał głosem donośnym, postukując stopą o ziemię. — Nie wiem, jak długo jeszcze zdołam w pobok<sup>39</sup> was przebywać. Skoro tylko przypadkiem zbyt blisko się od ziemi odbiję lub odskoczę, czeka mnie pod przymusem niepołamanych przeznaczeń, natychmiastowy i bezpowrotny odlot w niebiosy. Taka jest bowiem niedola każdego upiora: pociąg do rozpędu i bezpowrotność odlotu! Latawiec jestem, latawiec rodowity!

— Uchowaj Boże od takiej niedoli! — wtrącił z zadumą jednoręki i westchnął na wszelki przypadek.

— Trudno mu się wygadać, więc dziwaczy, aż mu się pypeć na języku uzbiera — zauważył kulawiec i uchyliwszy czapki, obłechtł palcami lśnistą lysinę.

Podlasiak zdmuchnął z wąsa muchę zieloną, która bzykając usiadła mu w pobliżu nozdrzy wraz z jaskrawiącą się w jej ruchliwym bisiorze szczyptą zdrobniałego słońca.

— Ludzie dobrzy! — zawołał znowu, życzliwie kiwając głową i uśmiechem popierając każde kiwnięcie. — Zanim wypadki nieprzewidziane oderwą mnie na wieki od powierzchni ziemi, chcę razem z wami pościć na niej coś najcenniejszego! Pomyślmy

<sup>39</sup>w pobok — obok. [przypis edytorski]

Słońce

Wstyd, Milczenie

Lot, Upiór

Wiedza



tedy wspólnie, czego nam najbardziej najnieodzowniej dotąd brakowało?

Jednoręki z widoczną troską o wniosek, a kulawiec z niedowierzaniem pogrążyli się w zadumie.

Żaden z nich wszakże nie mógł jakoś odpowiedzieć na pytanie Podlasiaka, a i sam Podlasiak zdawał się gmatwać w myślach rozmaitych.

Wiatr powiał od lasu i przynosząc ze sobą ćwierkanie napotkanego po drodze ptactwa, rozproszył się po murawie, która na chwilę zafalowała, ukazując srebrzystą stronę niektórych ziół i traw włochatych.

— Czego nam brak? — powtórzył po głębokim milczeniu Podlasiak i z pytającą uwagą spojrzął po swych towarzyszach przygodnych.

— Łatwo spytać, a trudno odpowiedzieć! — rzekł jednoręki i pokiwał głową bezradnie.

Kulawiec przemilczał, coraz zapalczywiej oddając się namysłom.

Pytanie Podlasiaka zaskoczyło obydwu zbyt nagle, ogłupiając na chwilę beczynną dotąd cząstkę duszy, w której się kryją tego rodzaju odpowiedzi.

— Przewstworu<sup>40</sup> nam chyba nie brak — zawyrokował Podlasiak i wskazał dłonią pierwszą lepszą oddal przed oczyma.

— Nie brak — potwierdził jednoręki, posłusznie biegnąc wzrokiem za dłonią Podlasiaka. — Człek i wygodę ma, i rozkurczenie wszelakie.

Kulawiec trawę palcami pocesał.

— I chleba mamy pod dostatkiem — mówił w dalszym ciągu Podlasiak, przenosząc wzrok z pustawej torby jednorękiego, na pulchną torbę kulawca.

— Do jutra wystarczy — oświadczył jednoręki i po namyśle dodał: — Do południa.

Kulawiec torbę swoją poklepał pieszczotliwie.

— Do południa — powtórzył — do południa!

Twarz Podlasiaka rozjaśniła się nagłym pomysłem i poszerzyła z radości.

— Wiem, czego nam brak! — zawołał, uderzając się dłonią w czoło.

Oczy obydwu przyjaciół zwróciły się ku niemu.

Łaskawie przyjął ich spojrzenia i wyprostował się uroczyście.

Wiedział.

Przez oka mgnienie zdawał się upajać zdobytą nagle wiedzą.

— Pocałunku nam brak, pocałunku! — zakrzyknął wreszcie w echa leśne i dłonią potrzęsnał w powietrzu, jakby komuś znak umówiony na odległość podawał.

Jednoręki podniósł zwieszoną dotąd w zamyśleniu głowę, a kulawiec czołgłiwym susem przydźwignął się po ziemi ku Podlasiakowi i ucha jak lufy nastawił.

— Wyznajmy to sobie nawzajem, że nigdy żadna dziewczyna nie obdarzyła nas dotąd pocałunkiem! — zawołał Podlasiak i ręką na odlew machnął tak rozpaczliwie, jakby chciał własne słowa na samym ich wydźwięku pogruchotać.

— A któraż to dziewczyna takim jak my pokrakom ust swych na chwilowy choćby poczęstunek udzieli? — spytał z urazą jednoręki, sierzdzącie spluwając na stronę. — Na taką jak my przynęcę żadnej ryby nie złowisz! Stul raczej tkliwą gębę, zanim ci od żalu jeszcze nie spuchła!

— Nie przeszkadzaj mu, nie przeszkadzaj! — zaszeptał skwapliwie kulawiec. — Niech się wygada, bo go tęsknota jak cholera trapi!

— Po cóż nam tej cholery użycza? — zachnął się<sup>41</sup> jednoręki i zdzieliwszy pięścią na trawie poległą czapkę, wyrównał niezwłocznie wyżłobioną w niej wnękę.

Chyba po raz pierwszy w życiu tak się gorącował! Słowa Podlasiaka wyrwały go nagle z tej nałogowej drętwy, która na kształt żółtego pancerza chroniła go od napaści wszelkich nieczyszczalnych mrzonek. Ogarnął go niepokój i zawrzała w nim słuszna niechęć do żalu, który do duszy zakradał mu się cichaczem. Czuł się jak wykolejeniec...

— Zgadzam się na to, że jesteśmy pokraczni — rzekł tymczasem zatrzwożony nieco Podlasiak. — Jednemu brak ręki, drugiemu nogi, a trzeciemu sterczy nad okiem sęk, jako zgoła nieproszony postrach na dziewczęta.

Pocałunek

Tęsknota

Kaleka

<sup>40</sup>przewstwór — przestrzeń. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>zachnąć się — oburzyć się. [przypis edytorski]

— Śmieszliwe są, śmieszliwe! — zauważył pośpiesznie kulawiec i palcem ostrzegawczo pogroził w powietrzu.

— Raz go baba, za zbyt dokładne podpatry<sup>42</sup> zwarkoczoną<sup>43</sup> do prania bielizną tak na kładce obiała, że o własnym przodku zapomniawszy, tyłem od niej w poskokach koźlich zmykał i dopiero za wsią do utrafionej plecyma drogi należycie pyskiem zgłupiałym się odwrócił — objaśnił jednoręki, potrząsając w stronę kulawca pięścią tak napominawczo, jakby to zapewne na jego widok rzeczona baba uczyniła.

Kulawiec nieznacznie poprawił się na swym miejscu.

— Śmieszliwe są, śmieszliwe! — powtórzył bez potrzeby i spojrzał na Podlasiaka z przesadną stanowczością.

Podlasiak nie zwracał na niego uwagi.

Uśmiechnął się zagadkowo i poszczypując obiecująco brodę, poruszył próbnie wargami, jakby je chciał zaprawić do wygłoszenia nie byle jakiej nowiny.

— Znam jedną taką dziewczkę, której nic nie odstraszy i która się na żaden widok nie wdrygnie! — rzekł wreszcie powoli i z dumą, osnutą na wyłącznym posiadaniu cennej wiadomości.

Jednoręki głową uparcie pokręcił, zaprzeczając z góry wszelkim domniemaniom łatwowiernego Podlasiaka.

— Cóż to za dziewczka? — spytał łączywie kulawiec i z drapieźną ciekawością zaczął się oczyma na odpowiedź.

Podlasiak ze wzrastającą dumą spojrzał na obydwu przyjaciół.

— Dziwożona! — oznajmił zwycięsko i ujął się pod boki, aby w ten sposób nadać swemu odkryciu zuchowatej pewności buńczucznego<sup>44</sup> stwierdzenia.

— Nie dla naszej gęby strawa! — rzekł jednoręki i machnął lewicą, aby się jednocześnie opędzić od narzuconej pokusy i od cytrynowego motyla, który załamując się w locie, zajął mu pół oka migawkowym i pierzchliwym cieniem.

— Skąd ona i czyja? — spytał kulawiec, ciekawy szczegółów, z których mógłby coś pewniejszego na przyszłość wywróżyć.

— Niczyja — odparł hardo Podlasiak.

— Dobrze się składa, że niczyja! — pochwycił kulawiec. — Co niczyje, to i nasze być może. A skąd?

— Skąd? Nie wiadomo! — odpowiedział Podlasiak. — Chyba zewsząd, bo i leśna jest, i ruczajna, i górską, i wszelaką. Już od lat kilku w lesie przebywa. Raz ją tylko widziałem, raz jeden jedyny. Byłem jeszcze wówczas dębem, przykutym do miejsca i do własnego milczenia. O samym świcie wynurzyła się z krzewów sąsiednich i podbiegła do mnie żywa, swawolna, obłyśnięta rosą i powiewająca w warkoczach, ciepłymi strzępami zlachmaniałych od kurzu pajęczyn. Zanim zdążyłem cień swój za wiatrem do stóp jej bosych dorzucić, objęła mnie oburącz i ciepłe, nagie ciało przystosowała szczelnie do mojej szorstkiej kory. A potem pokąsane przez komary i obrzmiałe wargi przywarła mocno do sęka, który obecnie nad okiem sterczy mi zatwardziale. Pewno świerzbiały ją i ciążyły od nadmiaru krwi nabiegłej, bo zakrwawiła je o ten sęk i uciekła z powrotem do lasu, ciesząc się po drodze śmiesznym widokiem krwi, która jej z warg w dłoń nastawioną skapywała.

Podlasiak zamilkł i palcem potarł sęk nad prawym okiem.

Jednoręki i kulawiec ze złością na ów sęk teraz spojrzeli. Widok naocznie sprawdzonego sęka napełnił ich jakąś nadzieją.

— Może dlatego właśnie ten sęk, mimo woli, jako pamiątkę zachowałem — dodał Podlasiak po chwili namysłu.

Jednoręki spowaźniał.

— Jeśli jej sęk nie odstraszył, to może i brak prawicy na przeszkodzie nie stanie — rzekł, powątpiewając z lekka o prawdzie słów własnych.

— Po ciemku ją, po ciemku zaskoczyć, żeby do raniusieńkiej zorzy posprawdzać nas oczyma nie mogła! — zaszeptał kulawiec mrużąc przekrwione powieki i chciwie zachłystując się ciepłym podmuchem własnego szeptu.

<sup>42</sup>podpatry (neol.) — podpatrywanie, przyglądanie się. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>zwarkoczony — spleciony w warkocz. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>buńczuczny — pewny siebie, zawadiacki. [przypis edytorski]

— Niech sprawdza! — zaprzeczył odważnie Podlasiak. — Chcę właśnie, aby mnie sprawdziła i mimo to, sprawdzonemu od stóp do głów, przyznała prawo otrzymania pocałunku!

— Jeśli jej komary warg zawczasu nie pokąsają, pewnością ich o sęk nad twoim ślepiem raz jeszcze nie pokrwawi — zauważył nieprzyjaźnie kulawiec.

— A nuż pokrwawi! — schlebił sobie czupurnie<sup>45</sup> Podlasiak. — Nawiasem mówiąc, komarów w lesie nie brak... A zresztą, zobaczymy! Pamiętajmy wreszcie z góry o tym, że tylko jeden z nas może być wybranem, a dwaj pozostali muszą z odkurem<sup>46</sup> się pogodzić, na hańbie poprzestać i wyzbyć się tak sercowych, jak pięściowych uroszczeń do warg, które ich jako niezdatnych pominą. Przysięgnijmy sobie tedy zawczasu, że ani kijem, ani pięścią, ani kolanem, ani innym zwyczajnym w takich razach narzędziem nie będziemy poszukiwali na wybranca odszkodowania, ani też wywalczali praw do udzielonego jednemu z nas pocałunku. Pierwszy oto przysięgam i pierwszy będę dbał o wypełnienie umówionych warunków!

I Podlasiak na znak przysięgi wznosił ku niebu potężną dłoń, wprowadzając ją w blask słońca i płosząc z pobliskiej sosny zakłopotanego niezwłocznie jej widokiem wróbla.

Obydwa przyjaciele poszli za jego przykładem, z tą wszakże różnicą, że jednoręki swoją dłoń, jako ulubioną jedynaczkę, wznosił wysoko i troskliwie, niby na pokaz, a kulawiec, oględnie przebiegając palcami, nie doniósł dłoni do możliwego kresu, jeno zwichnął w napiętku i zatrzymał w połowie drogi, jako na dostatecznej dla sprawy wysokości.

— Przysięgam i w twarz sobie za to napluć nie pozwolę! — rzekł jednoręki, z góry zapewne przewidując hańbę, z którą jako niezdatny do pocałunku, będzie się musiał wkrótce pogodzić.

— Tyś przysięgał, Podlasiak przysięgał, więc i ja przysięgam — dorzucił kulawiec, po kolei wytykając wzniesioną do przysięgi dłońią swych towarzyszy, a na ostatku własną osobę.

Czyn spełnionej przysięgi wywarł na wszystkich osobiście przez każdego pogłębione wrażenie oraz związane z przysięgą zamiary przeniósł nagle ze świata mrzonek w świat radośnie dostępnej rzeczywistości.

Nawet jednoręki zaniepokoił się pilnie i otarł usta rąbkami rękawa.

Podlasiak rozszerzył oczy i zdawał się podziwiać towarzyszy, wespół z nim obarczonych powagą uroczystej przysięgi i doniosłością spodziewanych przygód.

Kulawiec obejrzał niecałą nogę i po namyśle poprawił szmaty, w które była u dołu, jak w ścisły pokrowiec, spowinięta.

— Gadaj teraz, gdzie się dziewczka ukrywa? — zagadnął Podlasiaka. — Pewno pod gołym niebem samopas gdziekolwiek stoją, głupiejac jak ta jałozka<sup>47</sup>, gdy się w nic zaopatrzy?

— Śpieszno ci? — zapytał z wyrzutem jednoręki, karcąc kulawca oczyma za trafność i zaraźliwość pośpiechu, który i jemu wbrew woli się udzielał.

— Nie po jałmużnę idę! — odparł zuchwale kulawiec i z powikłanym wysiłkiem powstał z ziemi.

Jednoręki też powstał i uderzony prawdą słów kulawca, wytrzeszczył oczy i oddech na chwilę zataił. Na jednym jego policzku zjawił się wypiek nierówny i smużysty.

— Zmiarkował od razu! — rzekł do Podlasiaka, wskazując ramieniem przyjaciela i chępiąc się jego zgadliwością.

— Gdzie dziewczka? — zakrzyknął podniecony własnym powodzeniem kulawiec i niecałą nogą, jak kilofem w murawę głucho uderzył.

— W dziupli! — odszepnął tajemniczo Podlasiak i wysuniętą naprzód głowę podał usłużnie słuchaczom tak, jakby ją właśnie ze wspomnianej dziupli znienacka wynurzył.

— Daleczko? — spytał kulawiec, złuskując czapkę ze śliskiej jak woskowana posadzka łysiny, co czynił zawsze, gdy w drogę wyruszyć zamierzał.

— Nie bardzo! — pocieszył go Podlasiak. — Jest tu w głębi lasu dąb pewien, krewniak mój dawny, a w tym dębie — dziupla, a w tej dziupli — pszczoły. Dziwożona łąsa

Przysięga

<sup>45</sup>czupurny — zawadiacki, bojowniczy. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>odkur — tu: odmowa, odrzucenie. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>jałozka — młoda krowa niemająca jeszcze potomstwa. [przypis edytorski]

jest na miód i pszczołom go stale wyjada. O tej właśnie godzinie i w tej właśnie dziupli zazwyczaj przebywa i nie zważając na ukąszenia pszczół, najsutsze plastry miodu pożera. Wiem o tym, gdyż pozostała we mnie reszta wiedzy roślinnej, która w drzewach tkwi bezsłownie, pod postacią sennego i wonnego krążenia życiodawczych soków.

Podlasiak mimo woli, pod wpływem zapewne dawnych upodobań, liznął dolną wargę językiem.

— Trafisz do dziupli? — spytał kulawiec.

— Na ślepo! — upewnił Podlasiak.

— Nie traćmy czasu! — zatrwożył się nagle jednoręki.

— A więc w drogę! — zawołał Podlasiak i ujawszy jednorękiego pod lewe, a kulawca pod prawe ramię, ruszył zamasyście naprzód, zdradzając w równym biegu stateczną dziarskość powozowego konia, wobec którego bezładnie skoczny i wierzgliwy kulawiec zdawał się narownym i zabrakowanym wierzchowcem.

Rozpędna i nieco rozbrykana trójca wykolejonych ze wszelkiego ładu i składu niecierpliwców, ze stajennym rumorem wpadła w samą głąb lasu, niepokojąc rozdudnioną bezprawnie ziemię hultajskim tętentem pięciorga bosych stóp, które migwały niemal po kuglarsku na kształt niewiadomego użytku klepek, podrzucanych na przemian w zarówno niewiadomym celu.

Podlasiak, jako urodzony szybkonóg, szeroką piersią na przelaj rozpruwał przerażone własnym poświstem powietrze, torując w ten sposób drogę słabszym od siebie towarzyszom.

Biegli coraz chyżej i nieodwołalniej, już to posapując i głośno polykając własne, skrócone biegiem oddechy, już to pokrzykując dorywczo i nieprzewidzianie, aby nawzajem siebie rozzuchwalać i podżegać do coraz niepochwytniejszego pędu przed oczy!

Łamali po drodze krzewy i zarośla, które nabywszy od nich niestosownego trzepotu, zaznaczały swój lęk obfitym dreszczem zdmuchniętych z liści na liście światła i powszechnym popłochem błędnie przetasowanych cieni, z mrugliwą bacznością wracających na utracone miejsca.

Czasem maleli, zapadając się w jary i wądoły<sup>48</sup>, a czasem urastali ponad siebie, tratując wzgórze i puszyście obrzmiałe mrowiska, błękitniejące nagłą próżnią otrzymanego od nich w przelocie, na kształt policzka, śladu stóp, na oślep rozbieganych.

Kulawiec miotał na strony i niezrozumiale potrząsał zaciętrzewioną w locie głową, która z niedorzeczną starannością obskakiwała najźmudniejsze ścieżki i zakamarki leśne, jak nosata i brodata piłka, ubiegająca się o uciążliwe pierwszeństwo w grze, obliczonej na pośpiech i na utratę wszystkich na raz zmysłów.

Zdyszani i obłyśnięci lechtliwym i zawieszonym potem wbiegli na polanę, gdzie cisza sennie dostosowując się do miejsca, zdawała się posiadać ten sam, co polana, obręb i tę samą otworzystość. Zielony poblask trawy ślepił na chwilę zaskoczone nagłą widownią<sup>49</sup> żrenice.

Podlasiak wyrzuconą pod kątem nogę znieruchomił, na kształt mocarnego hamulca i jak dbały o całość zaprzęgu woźnica, osadził na miejscu oszołomionych własnym galopem towarzyszy.

Przystanęli, aby się odsapać i uporządkować bezład uwięzłych w gardle oddechów. Na uboczu polany stał dąb olbrzymi z dziuplą, która połyskując w słońcu żyłastą wypuklizną spróchniałego obrzeża, ukazywała swą głąb szczerbatą, jak paszcza bezzębna i rozwartą do raz na zawsze stłumionego okrzyku.

Ułudną możliwość i pogróżkę tego okrzyku czuć było w chwilach zamilknięcia rozćwierkanego poprzez liście ptactwa.

— Tam! — szepnął Podlasiak i wskazując palcem dziuplę, przywarł niezwłocznie ów palec do ust na znak baczności.

— Ciszkiem do niej, ciszkiem, żeby nie uciekła! — ostrzegł półgłosem kulawiec, badawczo obzierając dziuplę.

— Nie ucieknie! — pocieszał siebie samego jednoręki. — Do własnej torby ją złowię, jak niegdyś zająca.

<sup>48</sup>wądół — dolinka z płaskim dnem i stromymi zboczami. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>widownia — tu: widok. [przypis edytorski]

— Rok temu zając mu z żyta do torby wskoczył przypadkiem — objaśnił, ścisząc głos, kulawiec. — Przyłapał go natychmiast i pacierz z radości odmówił. Sam go obielił i sam na żuźlach zrumienił, ale jeść nie mógł, bo od mięsiwa odwykł i zapach pieczystego o bolesne mdłości go przyprawiał. A ja, choć też nienawykły, całego zająca, patrząc na owe mdłości, schrupałem do szczętu.

I kulawiec zaśmiał się ochryple stłumionym śmiechem, który podkreślił udatność i pożywność smakowitego zdarzenia.

Dotąd jeszcze, po rocznej przerwie, było w tym śmiechu coś poobiedniego.

— Nie umknął Bóg mej torbie zająca, nie umknie i dziewczyny — rzekł jednoręki i ze czcią zdjął torbę z ramienia, jakby była i jego, i Boga wspólną własnością.

— Bylebyś mdłościami na widok tej ponęty nie wydziwiał, boś nienawykły — wtrącił uszczypliwie kulawiec i mrugnął porozumiewawczo na Podlasiaka.

Podlasiak mrugnięcia nie zrozumiał.

— Do dziupli, ludzie dobrzy, do dziupli! — szepnął z zapalem i przytrzymując dłońmi sztywne, do wahadłowych ruchów skłonne rajtuzy, powędrował na palcach ku dębowi.

Jednoręki też na palcach jął się do mety posuwać, a kulawiec za pomocą ostrożnych z przestankami poskoków, jak świerszcz, w ślad za nimi przemieszczał się po trawie.

I zatajonym oddechem, utrudniając sobie każdy krok i obwarunkowując go wysnutymi naprędce prawidłami umiętznego stąpania, dotarli wreszcie do dziupli.

Dotarli bladzi od wzruszenia, prócz zresztą Podlasiaka, który w tej chwili właśnie był czerwony jak upiór.

Nawzajem dali sobie dłońmi znaki, których nikt dokładnie nie zrozumiał, lecz których niezbędność każdy głęboko odczuwał.

Tak czy owak, wszyscy trzej przyczyniali się usilnie do obfitego wytwarzania grobowej wokół dębu ciszy, przerywanej jeno powiewem odbitego od trawy i dorzuconego do gałęzi wiatru, który się po liściach ze wzmożonym szumem a z osłabłym lotem rozpraszał.

Niespokojne pszczoły, opukując dąb czujną kończyną kosmatego tułowia, roily się u samego wnijscia<sup>50</sup> do dziupli i nadając jej pozór złościście jątrzącej się rany, ukazywały we mroku wnętrza dalszy ciąg robacznego wrzenia.

Jednocześnie z głębi dębu dolatywał odgłos pilnej krzątanimy i echowego szmeru, jaki zazwyczaj odzywa się z przytkniętego do ucha pudła milczącej na pozór basetli.

Odgłosy te i szmery nie uszły uwagi zaczajonych nasłuchiowaczy niedomówień leśnych.

Wszyscy trzej radosnym kiwnięciem głowy stwierdzili w milczeniu obecność w dębie dziwożony.

W tej chwili właśnie, wypłoszona z dziupli garść pszczół, ziarniście przesypując się w locie, pogłębiła się w powietrzu i w złotą gęstwę skupiając rozluźnione na mgnienie szyki, wpadła z powrotem do mrocznego otworu.

Po ich właściwym brzęku znać było, iż bronią zaskarbionych w dębie miódów.

Podniecony ich widokiem, jednoręki przytroczył do pobrzeża dziupli swą torbę i lewicą poszerzył u góry jej otwór tak, aby mogła pochłonąć wszelką z dębu wyzioną zawartość.

Dwaj pozostali towarzysze stanęli mu po bokach gwoli przecięcia możliwej ucieczki.

Oszałałe w swej zawziętości pszczoły nie ominęły zbliżonej do nich lewicy.

Jednoręki otrzymał niezwłocznie kilka poszczególnych ukąszeń, lecz mimo to trwał mężnie na pozyskanym stanowisku i z dumą spoglądał na zaszczytne zbolałą, a łupu i żądeł chciwą lewicę, w której obecnie spoczęły poniekąd losy trojga spiskowców.

Nie mógł jej niczym zastąpić. Łączyła go teraz z tajemnicą wnętrza, jak żywy i czuły most, po którym ból, zmieszany z rozkosznym dreszczem oczekiwania, przedostawał się do spiekłego na słońcu ciała.

Uderzyły nań wary<sup>51</sup>. Kilka razy zgrzytnął zębami i zacisnąwszy warg, natężył wszystkie mięśnie jedynej dłoni, aby ją zatwardzić na ból i siłować się z nim, jak z nieznośnym brzemieniem.

Siłował się wszakże niedługo.

Brzęk pszczół w spróchniałym wnętrzu zawrzał nagle z tak ostateczną mocą, że na

Cisza, Dźwięk, Milczenie

Zwierzęta

<sup>50</sup>wnijscie (daw.) — wejście. [przypis edytorski]

<sup>51</sup>war — gorąco. [przypis edytorski]

niewidziane czuć w nim było szczelnie zbitą i żywcem kłębiącą się miazgę zbiorowej i uzbrojonej w żądła zaciekłości.

Stróżujące u wnijścia czatownice<sup>52</sup> zawirowały kręgiem po obrzeżu spajając swe drobne ciała w ruchliwą i wydłużoną wstęgę, podobną do zlocistej i rwącej się na jadowite strzępy gąsienicy, która co chwila zdawała się najeżać innym pyszczkiem i zakańczać innym ogonem.

Rozwarta do okrzyku paszcza dziupli wydała znienacka jęk dziewczęcy, który brzmiał obco i nie licował z jej bezzębny i zgrzybiałym podniebieniem.

Zasłyszawszy ów jęk, kulawiec skwapliwie pochylił się ku dębowi i dłońmi wsparł się o węzłowe kolana. Podlasiak na oścież rozwarł gębę i oddawszy ją wyłącznie zasłuchaniu, poniechał na niej wszelkiego wyrazu.

Jednoręki z błyskawiczną szybkością poprawił torbę, sposobiąc ją do zamierzonego celu.

Powtórny i głośniejszy jęk, wiosennie zgłuszony bujnymi ścianami dębu, wydobyl się na rozćwierkane ptactwem powietrze i w ślad za nim tanecznie zwinne ciało z wiewiórczą rzutkością i z przeraźliwym krzykiem wyskoczyło z dziupli i skielznąwszy<sup>53</sup> się po sękach, jak śnieżny ochłap, wpadło do nastawionej torby.

Jednoręki kurczowo zdławił zgrzebną gardziel pakownego wora, który całkowicie połknął upatrzoną ofiarę i oderwawszy wór od dęba, zwycięsko uniósł go w górę przy chóralnym wrzasku obydwu towarzyszy i przy rześnym brzęku pszczoł, który się zdawał brzękiem rozżarzonego na ich skrzydłach słońca.

Nigdy jeszcze torba jego żebracza nie była tak szczodrze upchana i w tak ponętną zaopatrzona strawę!

Ofiara miotala się w niej zapalczywie, jak ryba w sieci, szukając na próżno jakiegokolwiek wyjścia w zmierzchliwym i kosmatym wnętrzu, którego przedza, tu i ówdzie rozrzedzona, przeświecała słońcem na kształt popękanej w drobne skazy okiennicy.

— Żywa, żywa, żywa! — wrzeszczał Podlasiak i bezrozumnie wymachiwał rękami, zagnalony nieposkromioną radością na widok sprężystych podrygów zasobnego wora.

— Głowiasta! — oświadczył nagle z piskliwym zachwytem kulawiec i wskazał na powierzchni torby okrągłą jak bochen wypukliznę, która niewątpliwie zdradzała obecność wycofanej w oka mgnienu i do innego miejsca wściubionej głowy.

— Waży tyle co dzban jagód — zawyrokował jednoręki i coraz wyżej wznosząc ciskającą się na stronę torbę, ruszył naprzód, a co chwila kroku przynagłał.

Podlasiak i kulawiec pośpieszyli za nim, trzymając się pobliza torby i nie tracąc z oczu jej rozpaczliwych odruchów.

— Na polanie ją złożyć! Niech się udobrucha i złagodnieje! — doradzał kulawiec w przerwach pomiędzy jednym a drugim w ślad za torbą poskokiem. — A jeśli woli, niech się w torbie prześpi i sił dla nas nabierze!

— Nie pozwolę na żadną względem jej warg natarczywość! — zawołał Podlasiak, podstawiając dłoń na wypadek możliwego upadku rozszalałej torby. — Niech sama wedle chęci wargami rozporządza!

Jednoręki, milcząc, przystanął i na samym środku polany złożył wór, który nagle ucichł i zarysował na jednej stronie kształt skulonego grzbietu.

Wór najwidoczniej siedział na trawie.

Trzej towarzysze przykucnęli wokół niego, jak wokół ogniska dla bezpośredniej rozgrzewki.

Jednoręki nie wypuszczał ze zbolalej lewicy krwawo zdobytego skarbu. Trzymał go za górny węzeł jak za czuprynę.

Dzień wypołudniał i polana, siwiejąc od skwaru, stalowo majaczyła w słońcu, które lśnistą mrzonką przepajało jej zielen, chętnie zanikającą w osleplym na wszystko blasku.

W trawie wrzało od owadów, jak w wonnym ukropie.

Kulawiec, przykucnięty na ziemi i drzemliwy od blasku i upału, żuł zerwaną mimowiednie macierzankę i wywiewał półgębkiem jej lotny zapach, który mu prawdopodobnie zastępował w tej chwili pożądaną skądinąd woń brakującej machorki<sup>54</sup>.

<sup>52</sup>czatownica — strażniczka. [przypis edytorski]

<sup>53</sup>skielznąć się — ześliznąć się, spłynąć. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>machorka — gatunek tytoniu, zawierający dużo nikotyny, ale o nieprzyjemnym zapachu. [przypis edytorski]

Pułapka

Porwanie

Więzienie

— Ciała w bród! — zawołał poprzez utarte w zębach ziele i obmacał dłonią wór, który dotykiem polechtany, marszczył się tu i ówdzie i wzbraniał mu się nieznacznym dreszczem.

Podlasiak usunął jego dłoń natrętną.

— Nie bój się! Nic ci złego nie zrobimy! — rzekł głosem drżącym i spojrzął na wór z tkliwością i rozmarzeniem.

— Nasza jesteś, więc się w torbie na osobności do tej myśli wdróż i dziewczęcego uporu zawczasu obniechaj! — dodał pośpiesznie kulawiec i uraczył wór nagłym a zalotnym szturchańcem.

— Nie pożądamy nic, prócz pocałunku! Jednego tylko pocałunku! — tłumaczył się z westchnieniem Podlasiak i wyciągnął do wora błagalnie rozkraczone dłonie rzucając nimi na lnianą powierzchnię dwa palczaste i palmowe na pozór cienie.

— Ozwij się, tłuscioszku, pókiśmy jeszcze dobrzy i nasłuchiwaniam jeno dokoła ciebie robotni! — zawołał kulawiec, pokaszując domyślnym i zaczepnym śmieszkiem.

— Ozwij się, ozwij! — powtórzył z kolei Podlasiak, tym samym słowem nadając odcień modlitewny.

Wór milczał uparcie.

— My nie z przymusem, lecz z prośbą! — ciągnął dalej Podlasiak, potwierdzając wobec wora szczerą tych słów za pomocą długiego nacisku dłonią swej własnej piersi. — I o co z prośbą? O pocałunek! Nie zaznaliśmy dotąd ani jednego! Nie zdarzył się, nie przytrafił! Pocałunku nam chce się, pocałunku! Jednemu tylko z nas warg na oka mgnienie użyż! Wybór wolny masz! Palcem jeno wskażesz albo brwią skiniesz na wybrańca!

Nastąpiła chwila ogólnego, nie wyłączając wora, milczenia.

Dwie spojone ze sobą ważki, dwoiście szafirowiejąc w młyńcu powietrznym, z kwiatu na kwiat z suchym szelestem przefrunęły.

— A ilu was tam jest? — ozwała się niespodzianie dziwożona z wnętrza torby żebraczej.

— Trzech! — odpowiedział kulawiec, ukazując bez potrzeby zresztą trzy palce. — Gdy cię z torby na świat wynurzym, poznasz mnie po głosie...

— A jak wyglądasz? — spytała dziwożona.

— Moja to rzecz, nie twoja! — odparł z przekąsem kulawiec i opryskliwie odwrócił twarz od wora.

— A ten drugi, co pocieszonym basem gada, jak wygląda? — zaciekała się w torbie dziwożona.

— Nie najlepiej, nie najlepiej! — odrzekł ze szczerym smutkiem w głosie Podlasiak. — Jeśli mi wolno odgrzebać dawne wspomnienia, łączy nas niejaka znajomość. Już mnie raz widziałaś w lesie... Wargi, przez komary pokąsane, o mój sęk aż do krwi potarłaś. Nie był to wprawdzie pocałunek, a jednak... tkwiła w tym jakaś przelotna zażyłość i chwilowa poufność! Przypomnij no sobie!

— Dąb? — zaśmiała się nagle dziwożona i napełniła wnętrze wora klaśnięciem drobnych dłoni.

— Dąb, lecz odmieniony nie do poznania! — usprawiedliwił się prawdomówny Podlasiak.

— Upiór! — poprawił go niewczesny kulawiec.

Podlasiak nie zaprzeczył.

Wór zawahał się przez chwilę, jakby dla namysłu.

— A ten trzeci czemu dotąd milczy? — spytała znowu dziwożona.

— Ręki mu jednej brak, więc milczy dla tymczasowej niepoznaki — wytłumaczył złośliwie kulawiec.

— Szkoda ręki! — odpowiedziała z woru dziwożona.

Jednoręki potwierdzająco kiwnął dłonią, lecz słowem się nadal nie ozwał.

— Duszno ci w torbie? — spytał ze współczuciem Podlasiak.

— Duszno! — pochwyciła pośpiesznie dziwożona.

— Wynurzymy ją z torby! — rzekł Podlasiak troskliwie i stanowczo.

— Niech pierwiej na niewidziane przyrzecze, że nie odmówi jednego choćby pocałunku! — zaniepokoił się kulawiec. — Ma w torbie przestronność i zaciszę wszelakie! Może czekać, siedzący albo i leżący! Na niewidziane niech przyrzecze!

Spotkanie

— Nie chcę na niewidziane! — krzyknęła z oburzeniem dziwożona i niecierpliwie tupnęła nogą w ciasnym wnętrzu przymusowej siedziby.

— A co uczynisz, jeśli się przypadkiem twym ślepiom nie spodobamy? — spytał kulawiec i twarz do wora po odpowiedź przysunął.

— Nie pocałuję nikogo! — odrzekła dziwożona ze stanowczością, potrząsając worem.

— Na mój rozum, trza jej zawczasu, jak temu słowikowi, ślepie wylupić! Inaczej nam wówczas zaśpiewa! — poradził kulawiec i dwa palce ułożył w widła ruchliwe, którymi od biedy można by było dwoje na raz oczu wylupić.

Wór niespokojnie wzdrygnął się na trawie.

— Nie pozwolę na to! — wrzasnął Podlasiak. — Oczu jej najbardziej mi właśnie potrzeba!

— I mnie! — szepnął jednoręki, który dotąd trwał w zupełnym milczeniu.

— Niech patrzy! Niech patrzy! — wołał Podlasiak, pięścią bijąc się w piersi, jakby chciał zawczasu odpokutować i rozgrzeszyć niebezpieczną żądzę odbicia swej postaci w oczach dziwożony.

— Niech patrzy — powtórzył jednoręki.

Wszyscy trzej, dotychczas przykucnięci, powstali nagle z ziemi.

— Niech patrzy — powtórzył głośniejszym głosem jednoręki i zanurzwszy dłoń w swej torbie żebrawej, wyłonił zowąd pokąsane przez pszczoły i lepkie od miodu ciało, które ostrożnie i ze czcią złożył na ciepłej od znoju trawie obok zapadłego w nagłej próżni wora.

Myśliwe spojrzenia trzech zwolenników nieprzynależnego nikomu jeszcze pocałunku z przedwstępną zadumą badały dziwożoną.

Była drobna i wiotka i pomimo jędrności biodrzystego ciała nie mogła, na oko przynajmniej, usprawiedliwić danej łakomie przez kulawca nazwy tłuscioszka.

Zbyt wielkie rzęsami kosmato najeżone oczy i zbyt purpurowe, i wypukłe jak zarażliwy ponętny liszaj wargi zdawały się z niecznośnym mozołem mieścić w utulnie szczupłym owalu ogorzalej twarzy.

Zielony żuk, polyskliwie gmatwając się w jej wyświechtanym na słońcu i krótkim jak lwia grzywa warkoczu, co chwila i bez skutku zrywał się do niedołęznego lotu.

Wyrzucona ze zmierzchu wora na blask południa broniała się słońcu zmrużonymi na chwilę oczyma.

— Niech patrzy! Niech patrzy! — wrzeszczał jak obłąkany Podlasiak, zarzucając w tył głowę i rozkrzyżowując ramiona.

Jednoręki przez oka mgnienie przyglądał się dziwożonie, a potem, wzniosłszy oczy ku niebu, jął szepem odmawiać pacierz, jak to czynił wówczas, gdy zającą w niespodziewanym darze otrzymał.

Ponieważ nigdy nie żegnał się niepowołaną do tej czynności lewicą, więc i tym razem czterokrotnie szarpnął ułomnym ramieniem, o dopełnionym na odległość i ustronnie znaku krzyża napomykając sobie samemu.

Ten nabożny wysiłek potwierdził w bacznym oczach kulawca wartość zdobyczy.

— Ładny dziewczak! — rzekł, pocmokując ze znanostwem wargami.

Dziwożona tymczasem przetarła oczy i kolejno przyjrzała się trzem zalotnikom, którzy w milczeniu poddawali się badawczemu przegładowi. Na twarzy jej zjawiał się wyraz przestachu i rozczarowania. Z nagłym oburzeniem kopnęła wór, tuż obok na trawie poległy.

— Nie bój się wora, dziewczyczko! Już nie powrócisz do niego! — pocieszył ją jednoręki.

Dziwożona wsunęła klinem obydwie dłonie w ściśnięte i z lekka na bok odchylone kolana i skuliwszy się w ramionach, milczała. Nie miała zapewne nic do powiedzenia.

Podlasiak zdążył zauważyć, że na jednej jej dłoni tkwiła kurzajka, a na dużym palcu drugiej obierał się różowy paznokieć.

— Jeszcze raz nas obejrzyj, dziewulinko płochliwa! — szepnął nieśmiało.

Łatwo było postrzec, że o ile kulawiec nazywał dziwożoną zwięźle dziewczakiem, o tyle jednoręki udzielał jej rozwleklejszego miana dziewczyczki.

Podlasiak mówił zdobnie: dziewulinka.

— Jeszcze raz od początku... — powtórzył ciszej.

— Nie chcę! — odparła z dąsem dziwożona.

— Nie zbytkuj! — pogroził jej palcem na nosie kulawiec.

Oko, Wzrok, Przemoc

Ciało, Uroda

Obrzędy

Niedoskonałość, Pogarda



Dziwożona wzruszyła ramionami.  
— Jesteście inni, zupełnie inni! Nie tacy, jakich mi się w worze po ciemku zachcie-  
wało! — skarżyła się, odymając wargi i srożąc oczy. — I w dodatku, temu brak ręki,  
a owemu nogi!

— A po co ci moja noga? I bez niej się obejdzie! — zgromił ją kulawiec.

Jednoręki nic nie powiedział, jeno ukosem spojrzął na spuchniętą od żądeł lewicę.

— A tamten trzeci po co ma sęk nad okiem? — spytała z wyrzutem w głosie dziwo-  
żona.

— To ten sam, ten sam! — przypomniał jej Podlasiak powołując się na wiadomy  
z sękiem wypadek.

Dziwożona spojrzała na niego ze złością.

— Po co sęk nad okiem, po co? — krzyknęła ze ślepym uporem i gniewnie uderzyła  
pięścią o trawę.

Podlasiak struchlał i zbladł, jak przyłapany na gorącym uczynku winowajca.

— Wybór masz wolny... — szepnął głosem drżącym i spuściwszy głowę, znierucho-  
miał od wstydu.

— Wybór, wybór! — przedrzeźniała go dziwożona, podrzucając ramionami. — Same  
przeszkody i nic ponadto!

— Nie nagromadzaj przeszkód! — ostrzegł ją zawczasu kulawiec.

Dziwożona pokazała język czerwony jak mak i wklęśły jak czółno.

— Wybieraj, póki czas! — zawołał kulawiec.

— Nie mogę! — odparła dość krzykliwie dziwożona.

— Zmus się! — pisnął kulawiec i pięścią powahał w powietrzu.

Dziwożona z rozpaczą załamała dłonie.

— Przecież mi się wargi pokurczą od niechęci! — tłumaczyła się żałośnie. — Albo  
zacznę płakać tak, że nikt mnie uspokoić nie zdoła!

W głosie jej drgnęły dźwięki przyobiecane go płaczu.

— A my i rozplakaną połasu chować się potrafimy... — odpowiedział kulawiec, mru-  
żąc oczy.

Dziwożona stropiła się na chwilę.

— Nikogo nie pocałuję! — krzyknęła z nagłą stanowczością i ukrywając głowę w dło-  
niach, zwinęła się w kłębek na trawie jak szczenię, które przed pieszczotliwą napaścią  
swych dręczycieli broni się za pomocą upartego odwracania od nich oczu.

— Mówiłem! — przypomniał z wyrzutem w głosie kulawiec. — Nie spodobaliśmy  
się i basta! Trzeba ją było w worze na oślep pomęczyć tak, żeby potem sił i tchu nie miała  
na wybryki i odmowy przekorne.

Podlasiak i jednoręki nic nie odrzekli.

Kulawiec końcem kija zmacał pogięty jak fala kark zwinętej w kłębek dziwożony.

— Dziczysz się czy oswajasz? — zapytał.

Dziwożona podniosła nagle głowę i rozpołowiła dłońmi spadłą na twarz i niciasto  
skrzącąc się grzywą. Snadź powzięła nowe postanowienie.

— Chodźmy razem do pierwszego jaru, tam się przestanę dziczyć i jednego z was  
wybiorę — rzekła z udaną ochotą i trwożnie zerkając po obecnych, wskazała dłonią głąb  
lasu, gdzie pierwszy jar się znajdował.

— Do jaru, ludzie dobrzy, do jaru! — zawołał z zapalem Podlasiak.

— Do jaru! — zawtórował jednoręki.

— Niechta! — dorzucił, machając dłonią, kulawiec.

Podlasiak ujął lewą, a jednoręki prawą dłoń dziwożony i trzymając ją za dłonie, jak  
się trzyma swawolne i nieposłuszne dziecko, pobiegli we wskazanym kierunku.

Kulawiec pomknął obok, aby mieć na oku dziwożoną i wybredzając w podskokach,  
starał się im nadać trudny do uznania pozór figlarnej i nieprzymuszonej zalotności.

Biegli żwawo poprzez gąszczary i przesmyki leśne.

Jabłkowite plamy pokruszonego o gałęzie słońca i liściaste wzory altanowo pokrato-  
wanych cieni przesuwają się po ich twarzach, piersiach i nogach, i znacząc szybkość ich  
biegu swym w przeciwną stronę odlotem, oddawały ich władztwu następnych cieni i kół  
słonecznych.

Dotarli wreszcie do pierwszego jaru.

Uroda, Kaleka,  
Rozczarowanie

Pocałunek

— Chciałaś jaru, masz jar — rzekł kulawiec, podejrzliwie i ukosem poglądając na dziwożoną.

— Zdawało mi się, że nad jarem łatwiej mi będzie o namysł i o wybór, ale mi się pomyliła! — oświadczyła nagle zdyszana biegiem dziwożona. — Nie chcę jaru, nie chcę jaru! Biegnijmy dalej do pierwszego strumienia! Nad strumieniem się namyszę i wszystko powiem!

— Do strumienia, ludzie dobrzy, do strumienia! — wrzasnął uradowany nową obietnicą Podlasiak.

— Do strumienia! — pochwycił jednoręki.

— Niechta! — dorzucił znowu kulawiec i znowu machnął ręką.

Wszyscy z jednoczesnym pośpiechem ruszyli z miejsca i dobieżawszy do strumienia, przystanęli.

Nad brzegiem gęstwiły się gibkie i kolejno wiatrem targane szarfy połyskliwych tataraków, które naruszając strzelistego a wrodzonego im ładu, gmatwały się co chwila i ześlizgiwały wzajem po sobie.

Toń wodna migotała spoza nich, jak spoza sztachet chwiejnych i nieustalonych.

U przeciwnego pobrzeża, stalaktytowe smugi odbitej na oślepie zieloności zwisały aż do dna — głębsze na pozór od samego strumienia i niedostępne niepokojem marszczącej się z lekka powierzchni. Zdawały się zielonym i spadzistym zniżciem<sup>55</sup> do nieskończone dalekich i na opak wybujałych przeciwświatów...

Na najwyższej kończyźnie osamotniałego w swym górowaniu tataraku kołysał się przesadnie do swej małości rozważany motyl, który przeświecał czerniawą tkanką białych jak płótno i szczelnie zemkniętych skrzydeł.

Dziwożona, trzymana za ręce, piersią podała się naprzód ku wodzie i odętymi nozdrzami zaczerpnęła ożywczej i zawsze świątecznej woni tataraku.

— Jedną mi dłoń wypuście na swobodę! — napierała się, zerkając błagalnie na Podlasiaka. — Chcę tylko dostać tataraku! Lubię tatarak!

Podlasiak wypuścił z ręki jej dłoń drobną i niemal dziecinną.

Zanurzyła ją natychmiast po ramię w zarośla i wyrwała zowąd jedną łodygę, która ze śliskiej uwięzi wyprała się z jedwabnym poświstem, zmagającym zatkwionego opodał motyla, do przesunięcia się na drugą stronę smukłej kończyzny, za pomocą skrzytego przebierania czworgiem nóg, zachwiewanych brzemieniem chylącego się na bok żagla...

Różowy i żółkowany korzeń zabarwił się w słońcu soczystym połyskiem eterycznej wonnej błony.

Dziwożona wcisnęła go pomiędzy wargi i zanurzyła w jego miąższ swe białe, ostre zęby.

Syciła tatarakiem ów głód, który kiedy indziej zmusza ciało do tarzania się w wonnej trawie lub do strząsania na siebie chłodnej rosy z gałęzi napotkanego po drodze drzewa.

Wszyscy trzej towarzysze za jej przykładem zerwali po tataraku i gryząc wilgotne korzenie, poglądali spod oka na nieposłuszną i nieujarzmioną branekę.

— Słodkawogorzki — oświadczyła nagle dziwożona, oblizując zwilgotniałe od tataraku wargi.

— Słodkawogorzki — oznajmił z kolei Podlasiak z taką stanowczością, jakby chciał stawić opór wszelkim zaprzeczeniom.

— Słodkawogorzki — potwierdził z głęboką zadumą jednoręki, pilnie i nabożnie zajęty niespodzianą wyzerką.

Obydwaj mimo woli starali się przypodobać dziwożonie zgodnością smaku i pokumać się z nią jednakim a poufnym wnioskiem podniebień.

Kulawiec, milcząc, ssał swój tatarak.

Ni stąd, ni zowąd wydało się wszystkim trzem zalotnikom, że niezwłocznie po spożyciu tataraku dziwożona ogłosi swój wybór.

Tatarak wkrótce zjedzono do szczętu.

Nastąpiła chwila ponownego wyczekiwania.

Spojrzenia obecnych skrzyżowały się na purpurowych wargach dziwożony.

Motyl

Rośliny

<sup>55</sup>zniżcie (daw.) — zejście. [przypis edytorski]

— Gadaj! — krzyknął pierwszy kulawiec, niecierpliwie wychuchując z gęby zapach polkniętego tataraku.

— Nie mogę, nie mogę! — zawołała dziwożona, tuląc do piersi obydwie dłonie. — Zdawało mi się, że nad strumieniem wszystko się wyjaśni. Wybaczcie mi! Znów się pomyliłam! Nie chcę strumienia! Biegnijmy dalej — do pierwszego rozstaju! Na rozstaju namyślę się i powiem!

I dziwożona wskazała palcem ową stronę, gdzie się znajdował niezbędny dla jej namysłów rozstaj.

Tym razem ani Podlasiak, ani jednoręki nie powitali nowej obietnicy radosnymi okrzykami. Milcząc, pobiegli we wskazanym kierunku.

Kulawiec zaś machinalnie powtórzył swoje: „Niechta!” — i po dawnemu machnąwszy dłonią, w kozłach niemal poskokach w ślad za nimi podążył.

Dobiegli do rozstaju i znów przystanęli.

— Chciała rozstaju, ma rozstaj! Niech gada! — gorącował się kulawiec. — Nie będę za nią dalej, jak wyżeł, z wywieszonym jęzorem po próżnicy biegał! Niedawno z wora wylazła, a już miejsca na świecie znaleźć dla siebie nie może.

— Na rozstaju wszystko powie! — oświadczył w imieniu dziwożony Podlasiak.

— Tak samo powie, jak nad jarem i nad strumieniem! — gardłował kulawiec, podrygując niecałą nogą.

— Co rozstaj, to nie jar i nie strumień — zauważył nagle jednoręki, wysuwając powyższy wniosek, z przychylnych dla całego zgromadzenia, ale zgoła niewiadomych przesłanek.

Dziwożona wstrząsnęła złocistą grzywą i schyliwszy głowę na bok, kolejno spojrzała na wszystkich.

— Powiem coś, co mam do powiedzenia — obiecała tajemniczo. — Powiem, ale szeptem i każdemu na osobności...

— Zgoda! — zawołał z ponownym wybuchem radości Podlasiak. — Na osobności, tylko na osobności!

— Pewno, że takie rzeczy tylko na osobności się gada — stwierdził z nagłym przekonaniem jednoręki. — Wie ona lepiej od nas, co czynić na oczach ludzkich, a co na stronie...

— Pogadamy z nią na osobności — rzekł kulawiec. — Niech tylko jeden drugiemu wręcza ją ostrożnie, żeby nie uciekła.

— Najpierw z upiorem pogadam! — zawołała wesoło dziwożona i uśmiechnęła się ukradkiem do Podlasiaka.

— Na bok reszta! — krzyknął Podlasiak, podniecony otrzymanym uśmiechem.

Kulawiec i jednoręki usunęli się na ubocze.

— Jesteśmy sam na sam — rzekł Podlasiak, do głębi wzruszony swym obecnym stanowiskiem.

— Zaraz ci coś szepnę, jeno się nachył, boś za wysoki — odparła dziwożona.

Podlasiak nachylił się ku niej.

— Nie chcę kulawca! Rozumiesz? — szepnęła mu do ucha dziwożona i niespodzianie wyrwała mu z brody najbardziej pogmatwany kędzior.

— Rozumiem — odpowiedział Podlasiak i z dumnym poczuciem rozbudzonej niejasno nadziei spojrzał na wyrwany kędzior.

— Na pamiątkę, dziewulinko? — spytał domyślnie.

— Na pamiątkę — potwierdziła dziwożona, spuszczać oczy.

Podlasiak potarł dłonią miejsce pozbawione kędziora i rzucił na zabrakowanego kulawca spojrzenie pełne politowania.

Po chwili dał znak kulawcowi, aby się zbliżył z kolei i wręczywszy mu dziwożoną, pośpieszył do jednorękiego.

Kulawiec zawczasu nachylił się ku dziwożonie.

— Pyskuj! — zawołał z powziętą z góry na wszelki przypadek urazą.

— Nie chcę jednorękiego... Rozumiesz? — szepnęła mu do ucha dziwożona i zniechęta zdzieliła go pięścią w policzek tak mocno, że kulawiec natychmiast przymarszczył owego policzka, aby sprawdzić stopień przykrego znieczulenia.

Podstęp

Tajemnica

Wszakże uderzenie pięścią obudziło w nim poniekąd nadzieję, jak wszelka wprawdzie dotkliwa, ale trafna w zasadzie pieszczota...

— Rozumiem — szepnął z uśmiechem i pogardliwie spojrzawszy na jednorękiego, przywołał go ruchem dłoni.

Jednoręki przybiegł pośpiesznie, jakby się bał karygodnego w danym razie opóźnienia.

Kulawiec wręczył mu dziwożonę, a sam skocznie pomknął do Podlasiaka.

— Ze mną, dziewczycyco, nie rób żadnych ceregieli — rzekł jednoręki. — Daj odprawę i zbądź kłopotu.

— Nie zbędę... — odparła, rumieniąc się, dziwożona.

Jednoręki postrzegł ów rumieniec.

— Mam się nacylić? — spytał pokornie.

— Nie — odrzekła dziwożona i wspięła się ku niemu na palcach.

— Szeptać będę! — uprzedziła go z uśmiechem.

— Dosłyszę! — odpowiedział radośnie.

— Nie chcę upiora... Rozumiesz? — szepnęła tajemniczo dziwożona i wyszperawszy okiem na jego opuchniętej od ukąszeń dłoni najboleśniej miejsce, rozdrapała je nagle różowym i drobnym jak perła paznokciem.

Jednoręki syknął z bólu i z rozkoszy, która się wraz z bólem narzuciła.

— Rozumiem! — rzekł z zachwytem, czując, że otucha wstępuje mu do duszy. Ze współczuciem spojrzął na zabrakowanego Podlasiaka.

— Już! — zawołał w stronę obydwu towarzyszy. — Skończone!

— Już! Już! — zakrzyknął Podlasiak i wraz z kulawcem zbliżył się do dziwożony.

Trzej zalotnicy dumnie i zawiadacko poglądali wzajem na siebie...

— Teraz, gdy już wszystko wiadomo... — zaczął uroczyście Podlasiak.

— A jużci, że wiadomo... — przerwał mu jednoręki.

— Ciekawym tylko, co wiadomo — spytał kulawiec i splunął w stronę jednorękiego.

— Dwaj pozostali powinni się usunąć... — ciągnął dalej Podlasiak.

Dziwożona milczała ze wzrokiem utkwionym w ziemię i mięła w dłoni kędzior ujęty brodzie Podlasiaka.

— Im prędzej się usuną, tym lepiej! — zawołał kulawiec i dał nagłą sójkę w bok jednorękiemu.

— Przysiągłeś, że bez bójki się usuniesz! — krzyknął jednoręki, grożąc spuchniętą lewicą. — Kulawych nam nie trzeba!

— Nam? Jakim — nam? — wycedził przez zęby kulawiec.

— Wiem, co mówię! — odparł jednoręki i spojrzął na dziwożonę.

Dziwożona milczała uparcie.

— Musimy wprzód wyznać sobie nawzajem, co każdemu z nas dziewczulinka na osobności szepnęła — zawołał Podlasiak, czując, iż zaszło jakieś nieporozumienie.

Nikt wszakże nie słuchał już jego rady.

— Usuń się, pókim cię jeszcze pięścią pomiędzy oczy nie uderzył! — krzyknął kulawiec i uderzył jednorękiego pomiędzy oczy.

— Uciekaj tyłem, jak od baby na kładce! — zaryczał nagle jednoręki i pchnął przeciwnika tak, że ów ostatni dał w tył kilka przymusowych odskoków.

— Kładka — kładka, a dziewczak — dziewczakiem! — wrzasnął odepchnięty i zacerpnąwszy w garść ziemi, sypnął nią w oczy jednorękiemu.

Postanowił, widać, oślepić rozwścieczonego przyjaciela.

— Precz w tył! Precz w tył! — wołał niemal obłądnie jednoręki i mrugając oczyma, porwał kulawca za gardło. — Nie tkniesz dziewczycy, bo nie z twego chlewu!

— Ludzie dobrzy! — jęknął przerażony Podlasiak. — Nie łamcie przysięg wobec niewinnej dziewczulinki!

Pięści kulawca hulały niewzornie wokół przytwierdzonej do gardła lewicy, lecz twarz jego zsiniała, a białka krwią nabiegły. Ostatkiem sił rozważał ułomną nogę i niby potwornym taranem uderzał nią w przeciwnika.

Podlasiak, który dotąd trzymał za rękę dziwożonę, rzucił się nagle ku zaciętrzewionym<sup>56</sup> przyjaciołom, aby rozejm pomiędzy nimi uczynić.

<sup>56</sup>zaciętrzewiony — zawzięty, podeksycytowany. [przypis edytorski]

Nie wiedząc, jak spojonych w walce przeciwników rozdwoić, chwycił na przemian to spuchniętą lewicę, to rozważaną na oślep nogę kulawca...

Dziwożona tymczasem, korzystając z bójki, cisnęła o ziemię zgniaty kędzior i ciszką a chyżo wymknęła się na wolność...

Podlasiak pierwszy spostrzegł jej ucieczkę i opuściwszy walczących, dał w ślad za nią nieludzkiego susa.

Wszakże w zapale i popłochu odbił się zbyt od ziemi i posłuszny przeznaczeniom, z okrzykiem „Żegnajta!” uleciał, nie chcąc, w niebiosy.

Nic innego nie zdążył powiedzieć na odlotnem.

Jego postać ciężka i olbrzymia bezpowrotnie i z przestankami wzbijała się ku błękitom, a targane wiatrem sztywne rajtuzy wydawały odgłos podobny do żalnego turkotu odjeżdżającej na zawsze bryki...

Drugi z kolei kulawiec zauważył wszystko, co się stało. Dziwożona przebiegła obok niego, myśląc, że zajęty bójką nic nie widzi.

Wyrwał się z uścisków omdlałej z bólu dłoni i skoczył przed się, aby zbiega pochwycić.

Wszakże przez zbyt roztargnienie pokwapił się naprzód kulawą nogą i runął, jak długi, na ziemię.

Teraz dopiero jednoręki zoczył uchodzącą.

Miał ją niemal no podoreździu, więc pośpiesznie wyciągnął dłoń, aby dziwożoną w czas zatrzymać, ale w nadmiarze wzruszenia wyciągnął właśnie tę dłoń, której nie miał...

Dziwożona z radosnym i dzikim krzykiem uchodziła w głąb lasu — wolna, wysmiewana, niedościgną...

Zanim kulawiec zdążył powstać z upadku, znikła w rozbłyskanej słońcem zieleni.

Dwaj przyjaciele, milcząc, spojrzeli wzajem po sobie.

Obydwaj zrozumieli, że bójka, którą toczyli przed chwilą, stała się już zbyt bezczarna.

Popołudniowe cienie z wolna gromadziły się pomiędzy drzewami. Szum chodził wierzchem lasu, nie przenikając do głębi.

— Ładny był dziewczak — rzekł wreszcie kulawiec i spojrzął na przyjaciela.

Jednoręki wyciągnął z torby kubek blaszany, obejrzał go starannie i schował z powrotem.

— Nie popsula? — spytał kulawiec.

— Nie popsula — odparł jednoręki.

— A chleba nie wyżarła? — spytał znowu kulawiec.

— Wyżarła — wyznał z westchnieniem jednoręki.

— Tatarakiem go, widać, przegryzała... — domyślił się kulawiec.

Jednoręki rozejrzał się naokół.

— A Podlasiak gdzie? — zapytał z niepokojem.

— Do nieba go zaniosło! — odparł kulawiec, palcem niebo wskazując. — W pogoni za dziewczakiem odbił się zbyt od ziemi i odleciał bezpowrotnie. Podlasiakiem go nie nazywaj, bo dla nas jeno owo nazwisko niestosowne przybrał, lecz wzbijając się ku niebu, wobec Pana Boga prawdziwe imię wyznać musiał.

— Jakże mu było na imię? — spytał ciekawie jednoręki.

— Żegnajta — odpowiedział kulawiec. — Takie imię, że dość je przed kimkolwiek wymówić, aby już tyłem do ciebie się odwrócił...

— Podlasiaków dwóch znałem, a Żegnajty ani jednego — przypomniał sobie nagle jednoręki.

Wiatr powiał od lasu i odął z lekka na piersiach kulawca rozchełstaną w bójce koszulę.

— Czas nam w drogę! — rzekł nagle kulawiec i zajął zwykle po prawej stronie stanowisko...

— Czas! — powtórzył jednoręki i poprawił torbę na plecach.

Obydwaj zgodnym krokiem ruszyli w jedną zawsze drogę.

— Żegnajta! Żegnajta! — rozlegało się coraz wyżej i coraz ciszej w promiennych od słońca przestworach.

Lecz zadumani przyjaciele nie słyszeli dalekich okrzyków zapodzianego w niebiosach upiora.

Szli znowu — donikąd.

Lot

Imię, Rozstanie, Pożegnanie

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/klechdy-polskie-podlasiak>

Tekst opracowany na podstawie: Bolesław Leśmian, Klechdy polskie, Instytut Wydawniczy Pax, Warszawa 1978

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Dorota Kowalska, Marta Niedziałkowska, Roksana Trojak, Weronika Trzeciak, Wojciech Szczęsny.

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.